

OPLATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁEM.

WARSZAWA, ŚRODA 14 WRZEŚNIA 1927 ROKU № 2

DŁOMYKI

Tygodnik ilustrowany dla dzieci i młodzieży.

WYDAWNICTWA ROK DWUNASTY.



L I S T Y O D R E D A K C J I .

DO JĘDRUSIA GOŁĘBIOWSKIEGO W OJCOWIE. Jak Ci się powiodło z egzaminem w Krakowie?

DO I. ANUSZEWSKIEJ W WARSZAWIE. Powiastka „Mój ulubiony Burasek” jest prosta i ładna. Pewnie nam jeszcze jaką powiastkę przyslesz.

DO GIENI SZLEGIERÓWNY W ŁÓDZI. Może Twoje „anemiczne” żabki nie mają odpowiednich warunków w akwarjum?

DO MANI JAROSÓWNY W JURKOWIE. Zanim zaczniecie hodować jakiegokolwiek stworzenia w akwarjum, zapoznajcie się najpierw dobrze z ich obyczajami, by ich nie męczyć niepotrzebnie w warunkach, które są dla nich nieodpowiednie. Napisz, jak się teraz miewają mieszkańcy Waszego akwarjum?

DO KL. II SZKOŁY POWSZ. W TESOWIE. Wasz kolega, Grzegorz Naczczuk, uratował tonącego kolegę. Czy trzeba większej nagrody nad własne zadowolenie tego dzielnego chłopca za to, że uratował życie człowieka, który w przyszłości może przynieść wiele dobrego swemu otoczeniu, a może nawet całemu krajowi? Pozdrowcie go od „Płomyka” i powinszujcie mu od nas.

DO ALFREDA SZUWALSKIEGO W POZNANIU. Zwróć się do „Naszej Księgarni” (Warszawa, Widok 22) o książkę p. t. „Księga odkryć i wynalazków”.

DO JERZEGO STOBINSKIEGO W ŁONIEWIE. Powinnościście przekonać Waszych kolegów, że towary ze sklepu szkolnego są lepsze. Szukajcie też takich źródeł zakupu towarów, któreby pozwoliły Wam na obniżenie cen.

DO SABINKI CIESLEWICZÓWNY I ALKI CZAJKOWSKIEJ W MAURYCY. Pewnie na jednym liście do nas nie poprzestaniecie. I w tym roku też będą w „Płomyku” obrazki, tym razem treści historycznej. Czy starczy Wam miejsca na ścianach, by je zawieszać?

DO ZBYSZKA KOZARY W SZCZAWNEM. Z Twego opisu możemy sobie wyobrazić, jak tam jest ładnie. Czy jeszcze nie znalazłeś jakiego towarzysza?

DO MARYLI BAUERFEINDÓWNY W DRZEWICY. Nadesłaj nam obiecane zagadki i arytmografy. I napisz jeszcze do nas.

DO BRONKA FLORCZAKA W DOLECKU. Pewnie miał wiele kłopotu Pan Nauczyciel, zanim odszukał w Warszawie tych dwóch chłopców, o których piszesz. Dobrze, że obyło się bez wypadku, o który w Warszawie bardzo łatwo. W Warszawie trzeba umieć chodzić po ulicy, by nie wpaść pod tramwaj lub samochód, których całe sznury przeciągają.

DO J. MAYZLA W WARSZAWIE. Gdzie byłeś podczas wakacyj?

DO JANKA GAŚIORA W BÓBRCE. Czy już przeczytałeś „W pustyni i w puszczy”?

DO BASI BRODZIAKÓWNY. I KAZI KOWALIKÓWNY W STOŁPIU. Niestety, nie zdążyliśmy spełnić Waszej prośby. Ciekawi jesteśmy, jak spędziłyście wakacje?

DO WERONIKI PUDŁÓWNY W BAUDRAS, WE FRANCJI. Dużą radość sprawiają nam listy dzieci z obczyzny. Widzimy z nich, że nie tylko pamiętają o swojej ojczyźnie, ale nie zapominają o nauce ojczystego języka. Pozdrów od nas swą Panią Nauczycielkę, kolegów i koleżanki. Piszcie jaknajczęściej.

DO STASI LASOCKIEJ, MALCI ADLERÓWNY, ADKI KLARÓWNY, JOZI GULEWICZÓWNY, SŁAWCI BORSÓWNY, ANIELKI KRZYSZKOWSKIEJ, ZOŚKI NALERÓWNY, MARYSI IZAKIEWICZÓWNY, LEOSI PILEKÓWNY, KLARCI HAUSNERÓWNY I OSI GROSMANÓWNY W CZORTKOWIE. O wypożyczalni kostiumów myślimy. Wkrótce dowiedzie się, jak to chcemy urządzić. W tym roku już pewnie wcześniej będziecie mogły zabrać się do przygotowania przedstawienia.

DO REDAKCJI „WIOSENKI”, PISEMKA DZIATWY SZKOLNEJ W KRZEŚLINIE. Podobała nam się Wasza „Wiosenka”. Bardzo w niej ciekawie opisane „Dzieje kościoła w Krześlinie”. „Tęsknota za domem rodzinnym” bardzo dobrze maluje tęsknotę człowieka, przebywającego zdaleka od kraju. Ale nie dlatego człowiek tęskni, że w obcym kraju nie jest tak ładnie, jak w naszym, że nie ma tam takiej różnorodności roślin i zwierząt: i tam może być ładnie a nawet ładniej, tylko to, co nas od małego dziecka otaczało, jest dla nas bardziej kochane. Czy Antoś Pająk, który o tem pisał, był w Australji?

DO ZYGMUNTA OPOLSKIEGO W ZYRARADOWIE. Wierszyki Twoje są niezłe, ale musisz jeszcze dużo pracować, by były dobre, by przestały być wierszykami tylko, a stały się poezją.



PŁOMYKI

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Nowocześni bohaterowie.

Zmieniają się czasy.

Dawniej, przed wiekami, żyli bohaterowie legendarni. Różni rycerze, w pstre szatki odziani, i wędrowni śpiewacy chadzali wówczas po zamkach rycerskich i śpiewali o nich nadobne pieśni, brzdąkając na cymbałach dla wtóru. A w pieśniach tych sławili niezwykle dzieje bohaterów, co to okrutne smoki i szpetne poczwary porazili a wrogów pobitych w pojedynkę na kopy liczyli. A rycerze słuchali w długie zimowe wieczory przy kominku, a ogień im się palił w pierśsiach. Białogłowy zaś ciężko wdychały i jedna drugiej te dziwy po latach opowiadały.

Potem przyszedł czas, że smoków nijak nie można już było wyszukać, bo ich to poprawdzie nigdy nie było. Zato w księgach wiele grubych i w opowiadaniach zachwycano się dzielnością rycerzy o orlem sercu, o niezwykłej sile, co to wrogów w puch rozbijali, a gdy przyszło, to ochotnie dla sprawy, w ich mniemaniu wielkiej, umierali, byleby jeno ratować honor rycerza.

A jeszcze później, gdy już nie stało rycerzy w żelaznych zbrojach, przyszły czasy, że o bohaterstwie nie rozstrzygała siła jednostki, lecz jej wytrzymałość, silna wola. Kto dłużej wytrzymał w rowach strzeleckich, kto potrafił przetrzymać ognie huraganowe, kto więcej zniszczył żyć ludzkich z ukrytego miejsca, tego pasowano na bohatera i w książkach i w gazetach o nim pisano.

Dzisiaj czasy się zmieniają.

Dla nas bohaterem jest już nie tylko ten człowiek, który umie zginąć na polu walki, drogo sprzedawszy poprzednio swe życie, lecz przedewszystkiem ten człowiek, który czy to przez jednorazowy wysiłek, czy też przez ciągłe, codzienne, szare zmaganie się z przeciwnościami, zmierza do podniesienia i przysporzenia dobra ludzkości. A największym bohaterem to już taki człowiek, który gotów nawet swe życie poświęcić dla dobra bliźnich. I naprawdę, gdybyśmy się zastanowili, kto tu większym bohaterem, czy np. Napoleon, czy też ów lekarz, który na samym sobie doświadcza działania promieni radu, ażeby tylko umożliwić ludzkości zwalczanie straszliwej choroby, raka, to niezaprzeczenie każdy z nas powie, że stokrotnie większym bohaterem będzie ów lekarz, aniżeli Napoleon. Bo Napoleon tysiące ludzi

wysyłał na śmierć w swych wojnach, a ów lekarz, powolnie umierający w cierpieniach, tysiące ludzi ratuje przed straszną chorobą i śmiercią.

A takich bohaterów, o których dopiero dzisiaj coraz szerzej się mówi i im tylko oddaje się tę należną cześć, takich bohaterów było bardzo, bardzo dużo w dziejach ludzkości. Ludzie o nich zapominali, bo do ich umysłów przemawiały bardziej czyny na polach bitwy, a mniej wysiłki, zmierzające nie do niszczenia żyć ludzkich, lecz do chronienia ich, bronięcia przed śmiercią, chorobą i nędzą.

Do takich szarych bohaterów należy dzisiejszy robotnik, narażający swe życie w kopalni czy w hucie; matka, poświęcająca swe zdrowie dla dobra dziecka; ten żołnierz szary, broniący ziemi rodzinnej, i lekarz i siostra miłosierdzia, зараżający się od chorego, i inżynier, i uczone i tych tysiące, tysiące jednostek, którzy swojemi codziennymi czynami służą wiernie dobru całego świata.

Drugim typem bohatera nowoczesnego jest człowiek, który swe życie naraża, by duchowi ludzkiemu zapewnić zwycięstwo nad naturą, by móc ją ujarzmić, swej woli poddać. Weźmy np. ostatni lot naszego Orlińskiego z Warszawy do Japonji, czy też lot ponad oceanem Atlantyckim młodego 25-letniego Karola Lindbergha, lecącego przez 33 godziny ponad niezmiernym oceanem, ażeby tylko zapewnić duchowi ludzkiemu zwycięstwo nad przestrzenią. Pomyślcie sobie — 33 godziny przeszło sam jeden w drobnym aparacie, nad niezmiernym, skłębionym, ludzkim okiem nieobjętym oceanem, gdzie najmniejsze zepsucie się motoru, czy najmniejsza nieuwaga przy sterowaniu, gotują mu nieuchronną śmierć w wrogich odmętach morskich, gdzie musi walczyć i z wiatrami i ze śnieżycą, oblepiającą skrzydła samolotu i ściągająca go do morza, i że znużeniem i wyczerpaniem.

Wież o tym czynie napełnić musi dumą i radością każdego człowieka bez względu, do jakiej narodowości należy. Budzi ona w nas świadomość o potędze ludzkiego ducha, dążącego do ujarznienia natury od zamierzchłych czasów aż po dzisiaj, od czasu, gdy człowiek poraz pierwszy ogień skrzesał, by się ogrzać przed zimnem, aż do chwili, w której posługujemy się samolotem, radjem, radem i innymi cudami XX wieku.

I Wy, polskie dzieci, macie być z czego dumne, boć w tej walce zwycięskiej i Polacy biorą żywy a twórczy udział. Nasz naród nie stanowi biernej masy, która tylko korzysta z tamtych zwycięstw, nic od siebie nie dodając, — ale przeciwnie — my też jesteśmy członkami tej wielkiej rodziny narodów, wywalczającej zwycięstwo i sławę ducha ludzkiego. I my mamy takiego Orlińskiego, budzącego podziw w całym świecie swym brawurowym lotem do Japonji i z powrotem do Warszawy na połamany aparacie, mamy taką laureatkę Nobla, panią Curie-Skłodowską, i Reymonta i Chopina i tych tysiące szarych, nieznanymi bohaterów codziennego życia, pracujących w ukryciu a bez głośnej sławy dla dobra nie tylko Ojczyzny, ale całej ludzkości.

Gustaw Morcinek.



Z NIEDAWNYCH WASZYCH WSPOMNIENI.

Legenda o starym bartniku i wrzosach.

Przed dawnymi, bardzo dawnymi laty rosła puszcza nieprzebyta. Ani jej zmierzyć, ani jej przejść niepodobna było. Drzewa tam rosły przeróżne, a wśród całego ich mnóstwa pięły się lipy wysmukłe. Rosły sobie setki, setki lat zdrowe, wysokie i piękne i kwitły, osypane białem kwieciem, gdy nadchodził lipiec.

Na lipach tych żyły niezliczone roje pszczół. Huczał las cały od pszczelnego gwaru, gdy wyległy po miód lipowy! Aż mknący dołem jeleń rogi pochylił i patrzył, a sarny przystawały i słuchały. Taka to muzyka brzmiała na kwitnących lipach! Spojrzec w górę, a tam w gęstwinie lipowych gałęzi widać barcie porozstawiane. Proste, drewniane, wydrążone ule gęsto na drzewach bieleją. Cały dzień szumi las od pszczół przy pracy, a wieczorem, gdy puszcza zamilknie, starzec siwy las obchodzi, pacierz szepce i ku barciom spogląda. To bartnik stary, co w puszczy, w chacie ubogiej mieszka.

Skąd przyszedł — niewiadomo! Czemu tu osiadł samotny, też nikt nie mógł wiedzieć. Może mu ludzie w świecie krzywdę uczynili, że schronił się tutaj?.. Może przyrodę umiłował nad wszystko i przyszedł tu badać jej tajemnice?... Niewiadomo! O pszczoły się troskał, stawiał barcie, choremu zwierzęciu szedł z pomocą i chodził po lesie, cicho szepcąc pacierze. Zwierzęta znały go dobrze i nie uciekały przed nim.

Czasem w ciche południe słychać było stuk jego siekiery: to staruszek naprawiał barcie, umocowywał je, lub ścinał suche gałęzie. Z lasu nie wychodził wcale. Czasem tylko, gdy w puszczy działo się coś złego, gdy burze tamały drzewa, gdy rok był nieurodzajny, a zwierzętom brakło pożywienia, leszczyny nie obrodziły i wiewiórki głód cierpiały, pszczoły nie mogły nabrać miodu, szedł wówczas staruszek daleko, daleko lasem, gdzie w pieczarze święty pustelnik mieszkał. Prosił o modlitwy i błogosławieństwo dla puszczy i wracał znów ku swoim pszczółkom, ku lipom.

Tak upływały długie, długie lata. Bartnik był już stary, starusieńki i czuł, że mu czas umrzeć. Zaopatrzył pszczoły swoje w barcie nowe i mocne, przedzierał roje; tego lata lipy kwitły obficie i miodu było wbród, był więc spokojny o zimę dla pszczół. Odwiedzał zwierzątko i spokojnie, modląc się, czekał na śmierć.

Ale oto pewnego ranka zjeżdża do puszczy gromada ludzi z siekierami, z piłami. I cóż się dzieje! Wałą się z hukiem lipy stuletnie, spadają barcie z łomotem, miód się leje, piją go przybysze, roje pszczół padają na ziemię.

Cięli i cięli las, nie zostawili nic, pusta poręba została. Tylko wiata po niej hula, a wyrzucone pszczoły nieruchomo leżą.

Stary bartnik załamał ręce i zapłakał. Co robi teraz z pszczołami? Czyż da im zginąć? Zwierzęta uciekły dalej, ale pszczoły mają stratowane gniazda, miodu niema, lipy ścięte, a jesień nadchodzi!..

Ruszył staruszek do świętego pustelnika po radę i pomoc. Dłuzyla mu się tym razem droga, bo nogi odmawiały posłuszeństwa, a ser-

ce się z żalu ścisnęło. Doszedł wreszcie i o nieszczęściu spokojnej puszczy świętemu opowiedział, a już najwięcej o kłęsce ukochanych pszczółek.

— Ojcze, stworzenia zginą, poradź co robić?

— Bracie — rzekł pustelnik, — Ojciec Niebieski każdemu stworzeniu udzielił ziarno mądrości; nie troszcz się i nie trap i twoje pszczółki poradzą sobie. Idź w spokoju.

Błogosławił staro bartnika i rozstali się. Idzie stary bartnik do swojej zniszczonej puszczy, do zwalonych barci, ale już nie smuci się: — czuję ją k a k ogromną otuchę w sercu. Lekko mu iść było, nie obejrzał się nawet, jak powrócił w swoje strony.

I cóż widzi? Na miejscu wyrąbanego lasu jakby kobierzec jakiś liłjowy rozestany, zapach przyjemny się unosi, a szum i wesoły gwar pszczół słychać zdaleka. Starzec przystanął i patrzy zdziwiony. Potratowane barcie pustkami stoją, a pszczoły jednakże przy pracy... Patrzy, patrzy bartnik i zrozumiał, co się stało.

Na miejscu lip zakwitły pola wrzosów, liłjowych, pachnących... Pszczoły na pniach pobudowały schroniska i teraz oto przed zimą znoszą zapasy miodu z wrzosów... i brzęczą i radują się, jak dawniej.



Wala się z hukiem lipy stuletnie...

Staruszek usiadł na pniu lipowym, o kij się oparł:

— Istotnie, ziarnka mądrości udzielił Ojciec Niebieski każdemu stworzeniu... — szepnął i z uśmiechem na twarzy, a radością w sercu zasnął spokojnie.

A. Pawłowska.

O burzach.

Jakże często w duszne i skwarne dni letnie, gdy temperatura powietrza nawet w cieniu dochodzi do znacznej wysokości, a „parność” wprost tamuje oddech, mają miejsce mniej lub więcej silne burze.

Znacie je doskonale tembardziej, że ostatnie lato obfitowało w burze. Nie bez pewnego niepokoju spoglądacie nieraz na dzikie harce silnego wiatru na początku burzy. Porywa on liście, obłamuje gałęzie, zrzuca dachówki i strzechy.

Na niebie pojawiają się wówczas chmury kłębiaste z częściami dolnemi o barwie ciemno-stalowej lub szarej. Zakrywają one słońce i pędzą, gnane wichrem.

Wśród nagłej ciemności, obejmującej ziemię, między chmurami, zajaśnieje niekiedy oślepiająca błyskawica, a wkrótce potem rozlega się straszny grzmot, rozchodzący się echem po niebie.

Oto, jak powstaje burza:

Gdy podczas lata powierzchnia ziemi ogrzewa się pod działaniem promieni słonecznych, ogrzewa i przyległe do niej warstwy powietrza. Powietrze rozszerza się wskutek ogrzewania, przez co staje się lżejsze i poczyna się wznosić do góry: wytwarza się tak zwany *wstępujący prąd powietrza*.

Unoszące się do góry powietrze jest zazwyczaj bardzo wilgotne. Gdy dostanie się do zimnych warstw górnych atmosfery, część pary wodnej pod wpływem zimna skrapla się. Powstaje mgła, składająca się, jak wiecie, z drobnutkich kropelek wody. Mgła ta, widziana przez nas z dołu, to nic innego, tylko chmura. Trzeba Wam bowiem wiedzieć, że mgła i chmura to jest to samo, z tą tylko różnicą, że mgła bywa w warstwach dolnych powietrza, a chmura — w warstwach górnych.

Jeżeli powiadamy, że przy prądzie wstępującym powietrze ogrzane wznosi się do góry, to oczywiście powietrze zimne, jako cięższe powinno zająć jego miejsce i opaść z górnych warstw atmosfery na dół.

Przed burzą jest jednak nieco inaczej. Po kilku dniach upalnych następuje pewien stan równowagi nietrwałej, to znaczy, że powietrze ciepłe, choć lżejsze, znajduje się na dole, a zimne, choć cięższe — na górze. Wiecie o tem, że np. można, posiłkując się cienką rurką szklaną, ostrożnie wlać oliwę do szklanki z wodą i choć oliwa jest lżejszą od wody i zawsze powinna pływać na jej powierzchni, będzie jednak na dnie szklanki. Mówimy wtedy, że oliwa i woda są w stanie równowagi niestałej, gdyż wystarczy małe choćby wstrząśnięcie szklanką, a oliwa wypłynie na wierzch.

Tak samo rzecz się ma z powietrzem przed nastąpieniem burzy. Ponieważ wtedy wiatru niema, przez co właśnie jest tak gorąco i du-



Fot. Zyber k-Plater.

NADCHODZI BURZA.

szno, powstaje stan równowagi nietrwałej. Wystarczy jednak małe wstrząśnięcie, mały choćby wiaterek, a równowaga normalna zostaje natychmiast przywrócona. Powietrze ciepłe w olbrzymiej masie nagie poczyna uchodzić ku górze, tam następuje nagłe skroplenie pary wodnej, w niem zawartej, powodując gwałtowny i obfity deszcz, jaki zwykle spada podczas burzy. Powietrze zimne natomiast opada na powierzchnię ziemi, sprowadzając obniżenie temperatury, jakie się zawsze daje odczuwać przed burzą.

Najbardziej jednak charakterystycznym, a zarazem i najbardziej groźnym zjawiskiem, towarzyszącem burzy są błyskawice, grzmoty i pioruny.

Rozmaicie ludzie sobie przyczynę ich tłumaczyli. Starożytni Rzymianie wierzyli, iż błyskawice są to ognie niebieskie, które ich bóg Jowisz w gniewie rozrzuca po niebie, przejeżdżając wśród chmur na ognistym wozie, wywołującym turkot czyli grzmot.

Podobnie myśleli i nasi słowiańscy przodkowie. W ich wierzeniach bogiem, władcą strasznego ognia niebieskiego był bóg Perun czyli Piorun.

Dzisiaj uczeni wyjaśnili całkowicie, czem są te groźne zjawiska.

Wiadomem jest oddawna, że bursztyn, ta znana Wam żółta żywica kopalna, z której wyrabiają cygarniczki, breloczki i inne ozdoby, potarty o sukno, zyskuje władzę przyciągania do siebie okruszyn, opiłków, kawałków papieru i innych lekkich rzeczy. Możecie bardzo łatwo sprawdzić sami ową dziwną własność, jakiej nabiera bursztyn. Jeśli do-

świadczanie to będącicie wykonywali wieczorem w ciemnym i suchym pokoju, zauważycie, że z bursztynu do papierków, czy opitek przeskakują z trzaskiem maleńkie iskierki.

Tę dziwną siłę przyciągania, jaka objawia się w bursztynie po potarciu, nazwano *elektrycznością*, od wyrazu greckiego „elektron”, co oznacza bursztyn. Przez potarcie bursztynu o sukno wzbudza się w nim właśnie owa tajemnicza siła.

Przekonano się, że elektryczność zbiera się wszędzie: na różnych przedmiotach, zwierzętach, a nawet ludziach.

Elektryczność gromadzi się i w chmurach, a błyskawice są to także same iskry elektryczne, jakie otrzymujecie w ciemnym pokoju przy potarciu bursztynu o sukno, tylko nieporównanie większe, niż na kawałku bursztynu. Podobnie, jak w ciemnym pokoju przy otrzymywaniu iskier słyszycie suchy trzask, tak samo i błyskawicy na niebie towarzyszy huk czyli grzmot. Słyszycie go zawsze po błyskawicy, gdyż głos idzie znacznie wolniej, niż światło.

Błyskawica jest iskrą elektryczną, przeskakującą z chmury na chmurę, jeśli na obu zebrana jest elektryczność; często jednak, gdy chmura naelektryzowana przechodzi nisko ponad ziemią, iskra elektryczna może przeskoczyć z chmury wprost na ziemię; nazywamy wtedy tę iskrę elektryczną *piorunem*. Biada miejscu, w które piorun uderzy! Jeśli jest tam człowiek lub zwierzę, zabije go na miejscu, jeśli dom — to go w jednej chwili zapali, jeżeli zaś drzewo — rozedrze je na pół lub roztrzaska.

Dziś człowiek w znacznej mierze potrafi zabezpieczyć się od pioruna. Zauważył bowiem, że pioruny trafiają najczęściej w wieże kościelne, drzewa, samotnie stojące, i inne pojedyncze przedmioty, zaczął tedy ustawiać na dachach pręty żelazne, połączone za pomocą drutu żelaznego z ziemią. Mają one tę własność, że elektryczność podczas burzy schodzi z nich powoli z chmur do ziemi i nie wyrządza szkody budynkowi, gdyż piorun już uderzyć nie może. Pręt taki zowie się *piorunochronem* albo *konduktorem*. Nie wszystkie jednak budynki zaopatrzone są w piorunochrony. To też wiele z nich pada pastwą piorunu.

R. Gumiński.

J e s i e ń .

Przez jedno okno widać złotolistne klony
i jawory, czerwonym liściem malowane;
przez drugie, pełne życia dęby i topole
i hen, daleko, ściernisk żółknijące pole.

Tu jeszcze lato w pełni a tam jesień kosi
i lecą ciche liście ku błotnistej ziemi,
zaścielają ją złudą słońca: niebo szare
a one nam czarują słońca złotą marej.

Deszcz pada, przenikliwie wicher o druty jęczy,
suną się lśniące krople, jako łzy sieroce.
Wkrótce z drzew tych szkielety pozostaną ciemne
i zima zgarnie wszystko w swe władztwo tajemne.

Pozornie życie zdławi lodowatą dłonią,
białym całunem śniegu pokryje, otuli,
a pod tym śniegiem życie ogrzeje miłośnie,
przechowa pod całunem bujny sen o wiośnie.

Marja Czeska-Mączyńska.

Licho.

Dokoła każdej szkoły uwija się małe, psotne Licho. Niewiadomo, skąd się bierze, niewiadomo, gdzie przepada. Zjawia się podczas lekcji niespodziewanie wtedy, gdy dzieci najbardziej chcą uważać.

Przed Św. Janem widziała go cała klasa na lekcji rachunków, siedziało na wierzchu tablicy i bębniło w nią piętami w takt tego, co pani mówiła. Zajadało jagody z krobeczki, miało niemi uwalany nos i całą buzię i zerkąło tak pociesznie na panią z pod rozczochranej czupryny, że dzieci się dusiły ze śmiechu, a pani zamiast się gniewać, niewiadomo dlaczego zaczęła mówić, że zaraz po lekcjach pójdą do lasu na jagody. Wtedy mały machnął na czubku tablicy trzy koziołki w powietrzu i tyle go dzieci widziały.

W lesie latało podobno po krzakach, ale to nie napewno, może to była wiewiórka, albo co...

A potem w czasie pasionki widywały je dzieci od czasu do czasu. Kręciło fujarki z wierzby, plotło kapelusze ze słomy i baciki z sitowia, nawlekało jarzębinę na długie nici. Nie rozmawiało z dziećmi nigdy. Rozpływało się, jak mgła, kiedy do niego podchodzili.

Raz, kiedy Jasiek usnął na miedzy, wyгнаło podobno za niego krowy ze szkody, drugi raz skończyło za Antka strugać łódkę z kory, Zośka się przysięgała, że kiedy wpadła do rzeki, to ją za włosy wyciągnęło.

Po długim lecie nadszedł wreszcie czas, kiedy na przyrowkach, tam, gdzie kwitły blade, dzikie róże, zapłonęły głogi, a wkoło kamionki, w której siedziały zające, tarnina dostała twardych, cierpkich śliweczek i jarzębina roztrzęsała nade drogą swoje czerwone korale. Ranki były chłodne i coraz wcześniej szarzała ostatnia godzina dnia.

Wtedy to, w mgliste, szare rano, poszły dzieci pierwszy raz do szkoły. Poszły bardzo wymyte i uroczyste z nowemi kajetami w kolorowych okładkach, z nowemi, błyszczącemi stalówkami w piórach i nową, ciekawą ochotą, drżącą w sercu.

Na progu witała ich pani jasnym uśmiechem i radosnem pozdrowieniem, taka sama, jak w zeszłym roku, tylko opalona i weselsza. Śmieje się pani, że żegnała polskie dzieci, a wita spalone od słońca cyganięta; mówi, że trudno będzie wcisnąć w cztery ściany to wszystko, co się rozbrzykało po szerokich polach, że to nikt nikomu nie poradzi, że każdy

sam siebie będzie musiał okiełznać i do ławki na długie godziny pilnego uważania przykuć, a kto to wspanialej zrobi, ten większy będzie zuch.

Parę pierwszych dni trochę w głowie się kręciło i nogom, przyzwyczajonym do ruchu, trudno było pod ławką wytrzymać, ale wszystko powoli wciągało się do szkolnego porządku i wakacje wietrzały z głowy. Aż tu pewnego razu, na lekcji historii, kiedy pani opowiadała o Bolesławie Chrobrym, o tym wspaniałym królu - wojowniku, a w klasie było cicho, jak makiem siał, nagle za oknem coś mignęło. Poglądają dzieci, a to ono, małe znajome Licho na okno się gramoli, mruga na nie, pokazuje w stronę lasu i orzechy leszczynowe chrupie. Tańczy na oknie, śmieje się do dzieci mały kusiciel. Odwracają dzieci głowy, nic nie pomaga. Żadne już teraz nie umiałyby powtórzyć czynów króla Bolesława. Na szczęście jest dzwonek.

— Proszę pani, chodźmy do lasu na orzechy!

Pani się trochę dziwi.

— Co wam tak nagle przyszło do głowy?

Ale idą, idą czwórkami, śpiewając na całe gardło:

— Dalej śmieszki, na orzeszki, dalej, dalej w las!
Już leszczyna się ugina, woła, woła nas...

A Licho zaszyło się gdzieś w leszczynowym gąszczu i pogwizduje na pustym orzechu, wielce rade, że jeszcze raz dało mu się dzieci ze szkoły do lasu wyciągnąć.

Potem było już coraz trudniej całą klasę rozruszać. Kręcił się jeszcze mały psotnik wkoło szkoły, ale napróżno: nikt na niego nie zwracał uwagi. Zaczął więc zaglądać do dzieci w ich własnych mieszkaniach. Myśli sobie:

— Może ich tak prędzej namówię!..

I hyc! na okno podczas, kiedy Zosia i Antek lekcje odrabiali. Co się nie naskakał, naprosił, nakusił, min pociesznych nie nawyprawił, żeby rzucili wszystko i szli do lasu! Nic nie pomogło.. Zośce aż warkocze dęba na głowie stanęły, aż pióro skrzypi, aż kajet trzeszczy, tak smaruje straszliwemi kulfonami. Antek zatkał uszy, kiwa się nad stołem i krzyczy w kółko: — Dziewięć razy dziewięć — osiemdziesiąt jeden, dziewięć razy dziewięć...

— A niech cię nie znam z twojem „dziewięć razy dziewięć” — wrzasnęło rozgniewane Licho i poszło do innych dzieci, ale wszędzie było to samo: głowa nachylona nad książką i uszy zatkanie na wszystkie jego namowy. Licho poskrobało się w łysinkę za uchem:

— Odmienił mi kto te dzieci, czy co? — myśli bardzo zafrasowane.

A potem nastąpiły szare dni w smugach deszczu. Dzieci zabrały się do roboty nie na żarty, zabarykadowały się książką i kajetem od wszystkich figli małego Licha. Psotnik tracił powoli swój letni humor, snuł się po kątach smutny i śpiący, jak jesienne muchy. Pojął małym rozumkiem, że to szkoła zabrała mu jego dzieci w posiadanie na całe długie miesiące. W końcu powiedział sobie.

— Nic tu, bracie, nie masz do roboty! — pogroził w stronę szkoły zaciśniętą piąstką, zagrał jej na nosie i... gdzieś się zapodział. Przeszono go widywać.

Co się z nim stało — to wielka tajemnica... Dzieci nieraz sobie głowę łamały.

Może zasnął gdzieś w lesie razem z wiewiórkami, że świerszczem zamieszkał za kominem, a może zwinął się w kłębuszek i drzemie na samym dnie serc u dzieci, żeby w nich obudzić nową ochotę do życia i swobody z pierwszym wiosennym promieniem słońca.

M. Kownacka.

Zwycięzaj!

Zwycięzaj zawsze, a w życiu
całem
idź za promiennym swym ideałem.
Walcz, kochaj, cierp i wierz!

Choć ci pot skropli zmęczone
czoło,
ty siew rozrzucaj serca wokół,
ciepło i światło szerz!

Niech cię cierpienie nigdy nie
złamię,
wytrwale podnoś kujące ramię,
co bije w czynu stal.

I niech cię nigdy wstyd nie
przytłoczy,

że zmarnowałeś swój czas
roboczy,
niech cię nie gnębi żal.

Kiedy zwyciężysz i z jasną duszą
dojdiesz do wiedzy wrót,
wszystkie zapory napewno
skruszą
serce i wielki trud.

I pójdziesz w życie dla kraju
swego
i braci szczęście kuć,
kiedy potrafisz od małego
pracować, cierpieć, czuć.

Więc się postaraj zdobywać teraz
duszy i serca hart,
a siebie umiej zwyciężyć nieraz—
wówczas coś będziesz wart!!

J. WITKOWSKA.



1) Skarby piaszczystego wzgórze.

Napisała Marja Gerson-Dąbrowska.



POPIELNICE PRZECHOWANE W ZIEMI, W KTÓRE SSYPYWANO
POPIOŁY ZMARŁYCH.

— Ach, żeby to kiedy znaleźć skarb! — mówi z westchnieniem dwunastoletnia Marychna Liwska, podnosząc oczy od książki.

Jej dziesięcioletni braciszek, Staszek, zajęty w tej chwili zaprzęgnięciem konia do krzesła, niby do powozu, podnosi na nią zdziwione oczy.

— A... a co to jest skarb?

— Skarb? No... to pieniądze, różne złote i srebrne rzeczy, drogie kamienie takie, jakie mamusia ma w pierścionkach. Tutaj w tej książce opisują właśnie takie zdarzenie. Mój Boże! że to my nie jesteśmy w tej Hiszpanji, możebyśmy właśnie też coś znaleźli!

— Wio! wio! — woła tymczasem Staszek, sadowiąc się na krzesło i potrząsając biczem. — A tutaj niema gdzie skarbów?

— Gdzie? Tu, w Toporowie?

— Dlaczego nie? Przecież i tu mogli od dawnych czasów ludzie mieszkać. Pewno mieszkali.

— Prawda! No, widzisz, że też ja o tem odrazu nie pomyślałam! Ale jak myślisz, Staszku... No, dajże już pokój z tym koniem i posłuchaj mnie!.. Jak myślisz, czy tatuś-by nam pozwolił szukać?

— Dlaczegożby nie? — decyduje poważnie Staszek. — Tylko skąd będziemy wiedzieli, gdzie kopać? Możemy właśnie nie trafić.

— To prawda — mówi, zamyślając się głęboko Marychna, — ale przecież jeżeli będziemy dobrze szukali... Wiem, że w dawnych czasach, podczas wojen, w wielu miejscach chowano skarby, żeby je ukryć przed nieprzyjacielem. A nasz dwór podobno stoi już bardzo dawno, więc mogli tu doprawdy mieszkać ludzie, co jeszcze dawne wojny pamiętali. W każdym razie poszukam mojej łopatki. Ale słuchaj, Staszku, przyrzeknij mi, że nikomu o tem nie powiesz!

— Ja i tak nikomu nie powiem.



POP. ELNICE I OSTRZA KRZEMIENNE, WYDOBYTE Z ZIEMI.

— No dobrze. Ach, jak ja się cieszę, jak się cieszę! Co to będzie za przyjemna zabawa!

Od tej chwili Marychna nie umie myśleć o czym innym, tworzy tysiączne plany poszukiwań, przypominając sobie wszystkie powieści w tym rodzaju, jakie kiedykolwiek czytała.

Na drugi dzień rano rodzice spali jeszcze, gdy Marychna już ubrana wybiegła z ganku. W tej chwili krąży po ogrodzie pod bardzo starymi drzewami. Nie patrzy ani na śliczne o świeżej zieleni lipy, ani na grządki bratków i stokrotek, nie słucha wesołych głosów wilg i szczygiełków. Chodzi i duma.

— Nie — myśli, — doprawdy nie wiem, jak się do tego wziąć, ten ogród taki ogromny... A może to nie w ogrodzie szukać trzeba, tylko gdzieś na polu? Wczoraj, to mi się zdawało takie łatwe, a teraz nie wiem doprawdy, od czego zacząć. Tatuś to musi wiedzieć, jakie są sposoby szukania czegoś w ziemi.

Po namyśle zaczęła kopać pod starym, paręset lat liczącym dębem.

— Mógł być tu posadzony na znak — myślała.

Nameczywszy się napróżno parę godzin, zmieniła zamiar i kolejno teraz próbuje pod wielką lipą, koło dużego, leżącego w ogrodzie kamienia, pod kolumną kamienną ze szczątkami jakiegoś obtłuczonego posążka.

— Staszek, wciągnięty do tej roboty, zniechęcił się szybko.

— Ech! — mówił — moja Marychno, tu pewno nic niema, po co ja się będę męczył?

I uciekał do swojego kucyka.

— To nie — odpowiadała zadąsana dziewczynka, — ale pamiętaj, że jak go znajduję, to się z tobą nie podzielę, pamiętaj!

Tak przeszło kilka dni. Bezowocne poszukiwania znużyły już i zniecierpliwiły dziewczynkę, gdy pewnego dnia podczas obiadu posłyszała coś, na co splotęła gorącym rumieńcem.

Dalszy ciąg nastąpi.

2)

Wesoła gromada.

Opowiadanie z życia szkolnego.

Napisała Janina Porazińska.

III.

Wszystko zaczęło się od owego dnia 15-go sierpnia, gdy to w Nieborowie był odpust. Prawie cała wieś na odpust pojechała, starszych dzieciaków też niezgorsza garstka.

Pojechała Mańka, i Julka, i Zosia i Teofila, pojechał Wojtek, i Felis, i Piotruś, i Józek i Kazik.



WOJTEK.

A na drugi dzień po odpuście, przed wieczorem zebrały się dzieciaki na pastwisku i nuż opowiadać tym, co we wsi zostały, jak to tam było w Nieborowie.

— Ludzi ci się zjechało!... Anibyś przez cały dzień ich nie przeliczył.

— I paniby nie zliczyła?

— E, nasza pani toby pewnie zliczyła, ale nikt inny na świecie.

— Na kramach to takie różne różności, że jej!

— I karuzela była! Mańka wsiadła na konia, jeszcze nie ruszyło, a już zaczęła strasznie krzyżeć i zaraz zsiadła.

Wszystko się dzieciom podobało, a już szkoły w Nieborowie to się dzieciaki nie mogły dość nachwalić. Jaka wysoka, jakie ma duże okna, jaki ganek na

słupkach! Dookoła ogród, sztachetki nowe. Kazik-łazik przez wszystkie okna zaglądał do środka. Co tam za sale, jakie ławki, jak ślicznie przybrane ściany!

— Nie to, co nasza szkoła! Ee, ani przyrównać!

— Nie mogę teraz patrzeć na naszą chałupę.

— Odrapane to, stare!

— Pokrzywione, brudne, zacieka.

— Jabym się zaraz lepiej uczył, jakby szkoła była ładniejsza! — zakrzyknął naostatku Stasiek.

— Zawsze wykręci, kto nie ma chęci!

Stasiek zerwał z krzaku garść łopuchowych kolek i rzucił w gromadę. Porwały się dzieciaki i dalej Staśka gonić. Hyc!... przez rów i po drodze. Tylko im pięty migały.

Zatrzymały się dopiero u słupka na rozstajach. Siedział tam jakiś podróżny i palił porcelanową fajkę. Musiał być nie tutejszy, bo i odziany był odmiennie: w brązowe, aksamitne ubranie, i twarz miał obcą, okoloną rzyżym zarostem.

— Jak ta wieś nazywa? — zapytał dzieci.

— Cicha Wólka! — odpowiedziały chórem

— A te chalupy na górcę?

— Chciałby pan kupić?

— Jo, jaby kupić. Kogo ona?

— To nasza szkoła.

— Hi - hi - hi... — zaśmiał się brodacz i wyszczerzył wielkie, żółte zęby. — Ja myślał: psia buda.

Dzieciaki jakby kto batem smagnał.

— To za drogie na wasze pieniądze! — krzyknął Wicek i puścił się pierwszy, a gromada za nim.

Zatrzymali się dopiero na tej piaszczystej górcę, która złościła się naprzeciwko szkoły po drugiej stronie drogi.

— Psia buda! Patrzcie go, nie wiecieć skąd przyszedł i będzie tu wydziwiał!

— Ale! — krzyknęły groźnie dzieciaki.

Poczułi teraz, że szkoła i oni to jedno. Jaka jest, taka jest — ale należy do nich. Jaka jest, taka jest — ale oni należą do niej.

Usiedli przy sobie blisko; odwrócili się tyłem do obcego brodacza.

Słońce zachodziło. Nad polami wisiła cisza. Z chałup szły w górę dymy, jak brunatne słupy. Stada gołębi kołowały wysoko, raz srebrne, raz zaróżowione od blasku słońca.

Na pagórku za drogą stała ich biedniutka szkoła.

Z gąszczu chwastów, z za wysokich badyli ostów, pokrzyw i łopuchów sterczała jej zwichrzona strzecha, niby potargana czupryna. Jak oczy niewidzącego człowieka patrzyły jej okienka zasze mgłą pajęczyny, zasnute kurzem. Jak usta, wołające o pomoc, czerniały jej drzwi wyrwane, krzywo wiszące na jednej zawiasie.

Pierwszy zaczął Marek, ten nielubiący byle co mówić, zaczął wolno i cicho, jakgdyby sam do siebie:

— Żeby tak strzechę połatać świeżemi snopkami...

Tak za Markiem zaraz i te inne dzieci:



MANKA.

- Całą obelić...
- Szybki wyszorować do czysta...
- Dokoła okienek czerwoną farbą...
- Zawiaski przybić...
- Chwasty powyrywać...
- Pod oknami ziemię skopać...
- Barwinkiem obsadzić, całą zimę się zieleni...
- Wikliną ogrodzić...
- W klasie też ściany obelić...
- A znów te ławki...

Słońce wychyliło się z za ostatniej chmurki i wsparło o ziemię. Szkoła na wzgórką na chwilę stanęła zrózowiona od blasku, w tem zrózowieniu jakaś młoda i wesoła. Okienka strzeliły żywymi promieniami.
Dalszy ciąg nastąpi.

1)

Lato odchodzi.

Obrazek sceniczny w 1 odsłonięciu.

Napisała T. Zubrzycka.

O s o b y: GRZEŚ i JADWISIA. JASKÓŁKI: FRUCZKA, TIRLITA, KWIFITA, CZARNOTKA, LOTKA i BYSTROTKA. KRÓLEWICZ LATO, ORSZAK KRÓLEWICZA: KONIK POLNY, CHRABĄSZCZ, DWIE BIEDRONKI, PRZEPIÓRKA, KŁOS ZBOŻA, WISNIA i POZIOMKA, RÓŻA, BŁAWATEK, DZWONEK, STORCZYK, SZMEREK - WICHEREK i DWA ŚWIETLIKI.

Rzecz dzieje się na łące, na skraju lasu.

SCENA I.

Z za drzew w głębi wychodzi na łąkę z dwóch stron GRZEŚ i JADWISIA z dzbanuszkami i koszyczkiem w ręku.

JADWISIA.

Znalazłeś co, braciszku?
Ja nic do tej pory... *(chodzi chwilę, patrząc po ziemi, potem siada).*

GRZEŚ.

I ja nic! Tylko muchomory wchodzą mi ciągle w drogę!
A są pełne jadu.
Borówki już przepadły, jagód ani śladu.

JADWISIA *(w zamyśleniu)*:

Czy to już koniec lata?

(Rozgląda się po drzewach).

A może, a może...
Patrz, co już żółtych listków na drzewach... Mój Boże!

(Spada kilka listków; w głębi przeświata się cichutko SZMEREK-WICHEREK i podrzuca listki).

GRZEŚ *(z żalem)*:

Aniśmy się spostrzegli!
Kiedyż to się stało,
że to latko kochane,
jak sen przeleciało?

(Siada obok JADWISII i struga przeciek).

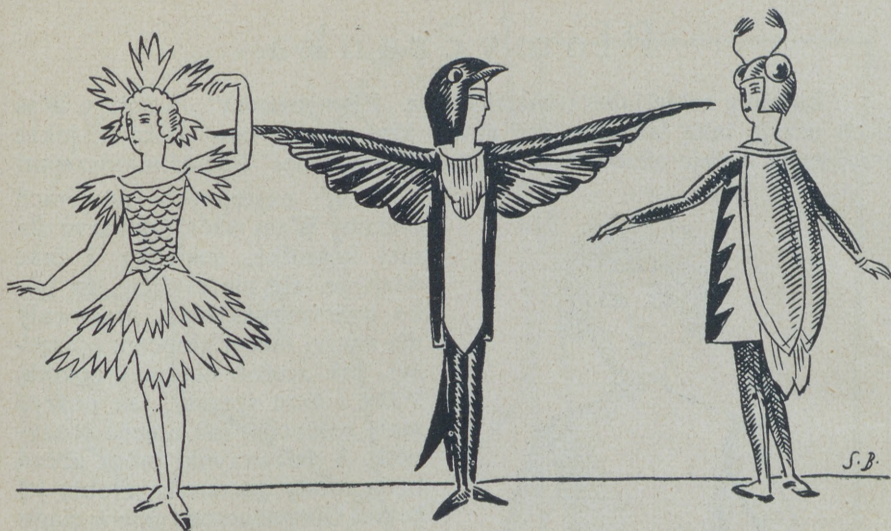
JADWISIA *(spoglądając w górę)*:
Patrzno, patrzno, jak chmura nadlatują skądś ptaki
(Grześ patrzy także).

Co to może być — wróble?

GRZEŚ *(osłaniając ręką oczy)*:
Ej nie, może to szpaki?

JADWISIA *(radośnie)*:
Jaskółki! To jaskółki
lecą tu na dąbrowę!

GRZEŚ *(ciągnie JADWISKĘ za rękę)*:
Uskoczmy za drzewo,
bo gotowe się spłoszyć. *(Chowają się).*



CHABER.

JASKÓŁKA.

CHRABĄSZCZ.

SCENA 2.

Wpadają z szumem JASKÓŁKI i siadają na dużej kłodzie, rzędem.

TIRLITA.

Tirlit-tirlit! Tirlit-tirlit!
Spocznijmy na chwilę.
Nasz Król jeszcze daleko.
(Rozgląda się).

Patrzcie, jak tu mile!

KWIFITA.

Miłościwemu Panu Latu
żał lecieć za morza,
na kraj świata...

CZARNOTKA (kiwa główką):
żał, żał... (Tajemniczo): Ale już
w borze

Szmer-Wicher zle wieści
mówi o jesieni...

BŁYSKOTKA.

Widziałyście (wskazuje w bok):
buk się czerwieni,

a tu i tam szeleści
liściek suchy...

LOTKA (z przejściem):

Już chodzą słuchy:
Królewicz zbiera orszak nasz.

TIRLITA.

Polecim wnet
za góry, het...
My przed nim — pierwsza straż!...

FRUCZKA (nieco na uboczu podczas
rozmowy JASKÓŁEK pociera sobie
skrzydełko, kręci się niespokojnie).

Mnie skrzydełko tak boli...
Oj, zwicznięte! mój Boże,
jak ja z niemi polecę
przez olbrzymie to morze?...

LOTKA (dostłyszawszy tylko ostatnie
słowa):

I mnie trochę strach bierze,
alem strasznie ciekawa...

KWIFITA (przekornie):

Ja w tę jesień nie wierzę,
co tam o niej Szmer gada.
Gdyby nie wy, siostrzyczki,
to zostalabym rada.
Co też tutaj się stanie —
jak myślicie?...

CZARNOTKA

(nadstuchując przerywa):

Tsss!.. Granie
skądś, z za góry dolata.

BYSTROTKA.

A może to Królewicz?
Może cały Dwór Lata? Lećmy!
(Zrywają się i odlatują na prawo),

FRUCZKA (zrywa się i upada):
Oj, jak boli!.. Nie mogę.
(Próbuje wstać).

Dalszy ciąg nastąpi.

P ł o m y c z a n k a .

Zrobimy sobie lalkę i nazwiemy ją „Płomyczanka”. Każdy z Was niech uszyje taką lalę, bo jeśli nawet ktoś się nie bawi lalkami, jakże przyjemnie będzie ofiarować śliczną „Płomyczankę” komuś młodszemu!

W następnych numerach podamy Wam wzór, jak uszyć dla niej koszulkę, sukienkę i inne odzienie, ale nie myślcie, że tylko dziewczynki będą pracowały dla naszej lali. Chłopcom opisujemy, jak zrobić dla niej pokoik, łóżko i inne sprzęty, jak poszyć małe zeszytiki, jak upleść koszyczek. A dziewczynki prócz ubrań będą robiły garnuszki, zrobią jej kotka. Gospodarstwo całe w ciągu roku zrobimy naszej pannie!

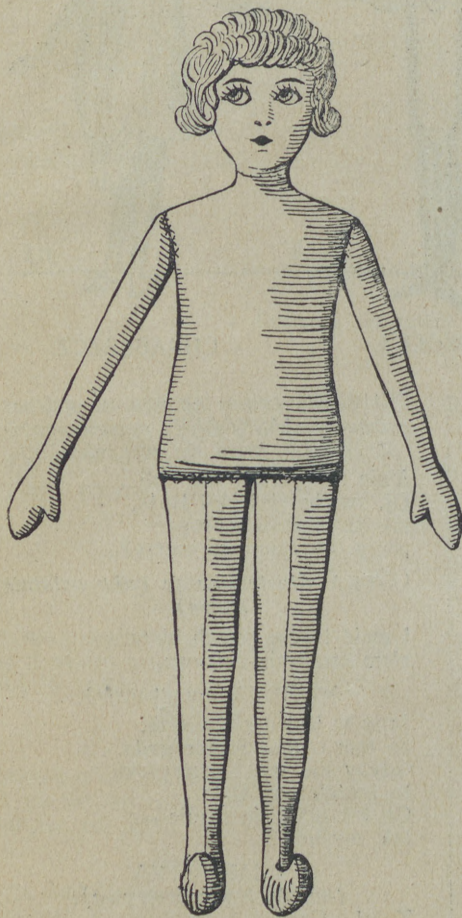
Płomyczanka będzie uszyta z materiału dość mocnego i gęstego np. satyny, płótna jedwabistego, lub perkalu koloru cielistego. Trzeba najpierw uszyć poszczególne części. Formy ich macie tu podane w naturalnej wielkości. Należy je więc tylko dokładnie przerysować, przekalkować na papier, wyciąć i, przypiąwszy szpileczkami do materiału, wykrajać.

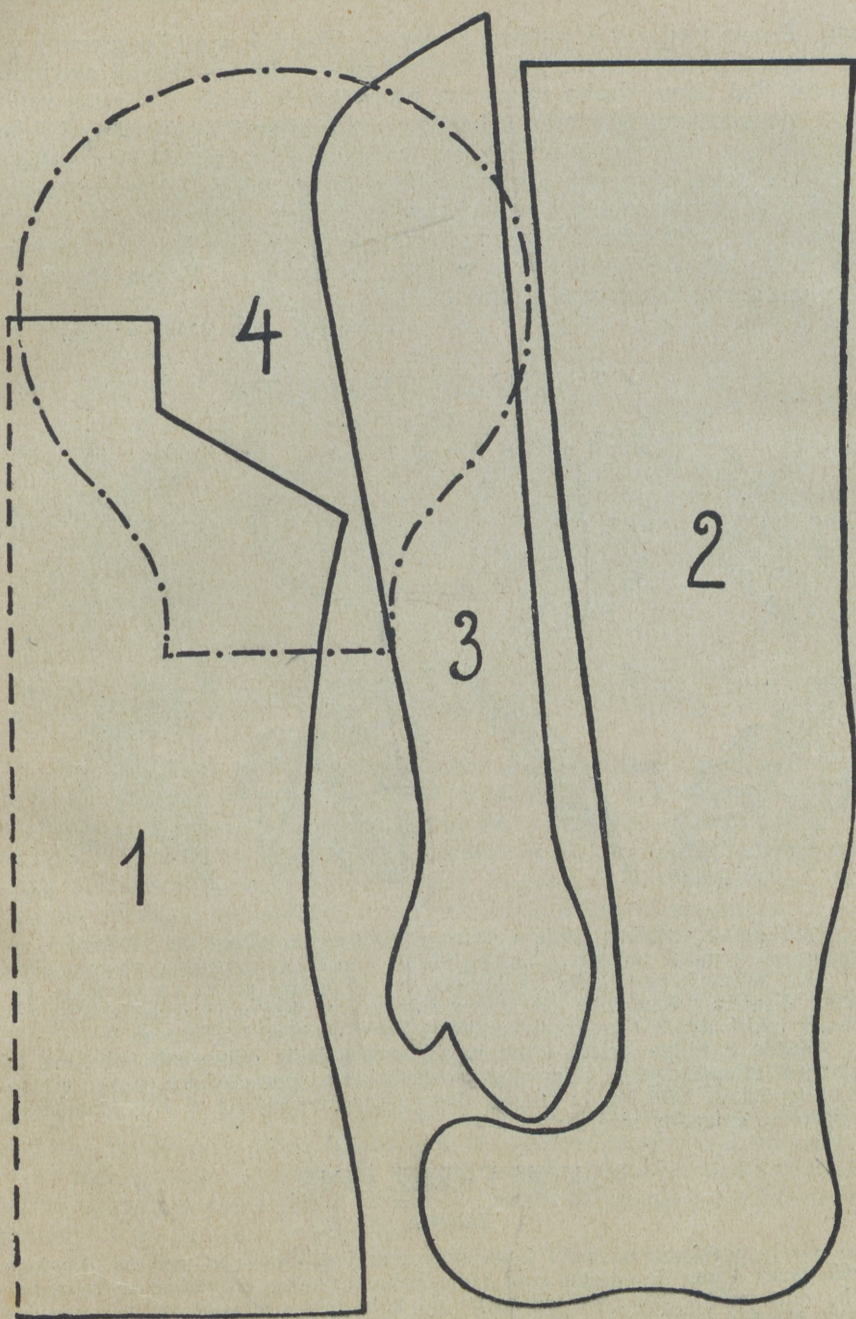
Zacznijmy od korpusu. Forma 1-sza stanowi połowę przodu (lub tyłu). Składamy materiał na pół i linią złożenia przykładamy do formy wzdłuż linii przerywanej. Po skrajaniu mamy cały przód. Teraz krajemy taki sam tył i oba te kawałki zszywamy ze sobą (lewymi stronami naze-

wnątrz) ścięciem za igłą o 3 mm. od brzegu, zostawiamy tylko otwór u góry, wywracamy na prawą stronę i wypychamy sztywno korpus skrawkami gałganków, trocinami lub watą.

Później w podobny sposób szyjemy nogi, krając cztery kawałki, oznaczone cyfrą 2, po dwa na każdą nogę. Przyszywamy je do korpusu mocną nitką. Następnie szyjemy ręce i wreszcie najtrudniejszą część — głowę.

Dwie formy Nr. 4 zszywamy i wypychamy bardzo sztywno





FORMA, WEDŁUG KTÓREJ MOŻNA SKRAJAĆ „PŁOMYCZANKĘ”.

watą. Potem zwijamy w palcach podłużnie kawałek waty i wsuwamy go nożyczkami po tej stronie, gdzie ma być twarz. W ten sposób uwypukli się nos. Tak samo trzeba zaznaczyć uwypuklenie brody. Przyszywamy głowę do korpusu, łącząc ze sobą obie połówki szyi nieznacznymi ściągami. Oczy, nos i usta malujemy wodnymi farbami. Włosy robimy z włóczki jasnej lub ciemnej, zależnie od tego, kto woli mieć Płomyczankę blondynkę, czy brunetkę. Nawlekamy podwójną nitkę włóczki w igłę i szyjemy rzędami spore ścięgi na głowie, nie dociągając jednak tych ściągów, tylko zostawiając pętle, to większe, to mniejsze. Będzie to wyglądało, jak gęsta, karbowana czupryna.

M. Skłodowska.

CZY ZNACIE TE LIŚCIE?



Już jesień. Żółkną liście i coraz ich mniej na drzewach. Wkrótce pozegnamy się z nimi zupełnie. Trzeba im się napatrzeć, napatrzeć na całą zimę!

Kto uważnie przyglądał się liściom, ten je od razu pozna na rysunku. Podajemy Wam tu 8 rysunków liści drzew i krzewów. Kto najszybciej z Was rozpozna, z jakich drzew i krzewów spadły te liście na kartki „Płomyka”?

Każde z trojga dzieci, które najszybciej nadesła odpowiedź, otrzyma od „Płomyka” niespodziankę. Odpowiedzi nadsyłajcie na pocztówkach, pisząc w sposób następujący: Liść Nr. 1: (nazwę drzewa czy krzewu) i t. d. Nie zapomnijcie też przysłać dokładny swój adres.

SKOK PRZEZ LINĘ.

Zabawa.

Grający tworzą na polu koło, przyczem jedno dziecko stoi od drugiego w odległości 1 m. Pośrodku koła staje jedno dziecko, trzymając w rękę linę trochę dłuższą, niż odległość od niego do koła (długość większa, niż promień koła). Na końcu liny umocowany jest woreczek z piaskiem (byle nie z kamieniem!). Dziecko, stojące pośrodku, kręci się w kółko na miejscu, przyczem trzymaną w rękę linę zatacza koło. Dzieci podskakują tak, aby linę nie zaczepiła o ich nogi. Kto nie zdąży podskoczyć i zostanie uderzony — wychodzi z gry.

Półkolonje letnie w Warszawie.



Na dusznych, pełnych kurzu ulicach Warszawy dzieci nie mogą się bawić. A jeśli muszą pozostawać w mieście, to pobyt ten bardzo źle wpływa na ich zdrowie. I dlatego szerzy się choroba płuc, zwana gruźlicą, pociągająca za sobą wiele ofiar. Istnieje w Warszawie Towarzystwo „Liga Szkolna Przeciwgruźlicza”, która czuwa nad zdrowiem dzieci, starając się stworzyć im możliwość przebywania na świeżym powietrzu.

Dzieci, najbardziej wymagające opieki, Liga wysłała do kolonij w miejscowościach leczniczych, więc w Solcu, Busku, Rabce. Ale wiele jest dzieci, których rodzice nie mają pieniędzy, by je wysłać na wieś, Liga nie jest też tak bogata, więc urządza tak zwane półkolonje.

Oto pod opieką wychowawców dzieci, grupami po 50 — 80, zabawiają się na świeżym powietrzu w ogródkach i na boiskach od 9 rano do 12-ej i od 3-ej do 7-ej. Największy taki plac w Warszawie jest przy ul. 11-go Listopada, gdzie kilkaset dzieci gimnastykuje się i zabawia.

Tyle godzin, spędzonych na zabawie na świeżym powietrzu, zaostrza apetyt: to też każde z dzieci dostawało śniadanie i podwieczorek, składające się ze smacznej bułki i mleka.

Dzieci ogromnie lubią swe „półkolonje”. W roku 1926 korzystało z nich trzy i pół tysiąca dzieci, w tym roku przeszło 16. 000.

Dzieci już nabrały w płuca dużo świeżego powietrza; słońce przesyliło je swymi promieniami, które są jednym z najlepszych leków na świecie: teraz już będzie im łatwiej przetrwać słotną jesień i przykrą zimę w ciasnym mieście.

Jak dzieci amerykańskie urządziły wystawę książek?

Ciekawą wystawę zrobiła pewna nauczycielka, Miss Grace Brucker, w szkole powszechnej aż w stanie Kolorado (zobaczcie na mapie Stanów Zjednoczonych Amer. Płn.): oto, „w tygodniu książki” (w Ameryce też urządzają, jak i my, „miesiące i tygodnie książki”) w jednej z klas na stole ustawiono kilka grup laleczek. Były to zilustrowane tytuły książek. Dwie lalki w strojach holenderskich, to jest „książka” „O dwóch małych chłopcach holenderskich”, a tamta to „Pani Wiggs i jej stragan z marchwią”, a murzynek przed armatą to „książka”: „23 lata u wylotu armaty”. Te „23 lata” trudno było zobrazować, więc wypisano je na armacie.

Mimo, że nie znamy tych książek, pomysł jednak moglibyśmy wykonać. „Miesiąc Książki” minął, ale wiemy, że książka zawsze jest nam miłą.

Oprócz tak znanych, jak „Czerwony Kapturek”, „Kopciuszek”, „Mądry kot w butach”, znajdzie się jeszcze wiele innych: „Chata wuja Toma” (była też na wystawie w Kolorado), „Czółnem przez morze”, „Bohater Ćwirk”, „Wacek i sześć jego siostrzyczek”, które możnaby w podobny sposób przy pomocy lalek przedstawić.

A jeszcze coś Wam powiem: w księgarniach amerykańskich można prócz książek kupić też „bohaterów” książki: śliczne duże lalki; jest cudna książka o Indjance i można dostać i tę książkę i piękną Indjanę, ubraną zupełnie tak, jak jest opisane w książce!

Może i u nas rozwinie się ten przemysł, a Wy pierwsi będziecie już próbowali, co da się zrobić. Macie wielkie pole do rozwinięcia swej spostrzegawczości, pomysłowości i fantazji.

A jak kto zrobi taką „wystawę książek”, może przysłać fotografię lub opis „Płomykowi”. Bo „Płomyk” też jest ciekawy, jak to książki można będzie przedstawić za pomocą lalek. Ale powinny być lalki tak charakterystyczne, by, spojrzawszy na nie, można było odrazu domyśleć się, jaka to jest „książka”. Urządźcie taką wystawę i zaproszcie sąsiednią szkołę. Niech zgadują, patrząc na lalki, z jakich to książek bohaterowie.

St. Kossuthówna.

Listy dwóch przyjaciół.

Drogi Jędrku!

No, więc jestem w Warszawie. Ale żebyś wiedział, jak się tu wszyscy śpieszą! Jakby się ciągle paliło. Wczoraj z Wujem chodziliśmy po książki. Jeden chłopak płakał w sklepie, bo mu zabrakło pieniędzy. Kupił sobie arytmetykę, a na książkę do polskiego to mu zabrakło. Było mi go szkoda, ale nie miałem pieniędzy. Wuj się śpieszył do swego sklepu, więc kupiliśmy wszystko prędko, ale Wuj jest bardzo

dobry i dlatego podarował mi zegarek. Ten zegarek jest czarny, ze szkiełkiem, i chodzi i kosztuje 13 złotych. Wuj powiedział, że nikt nie ma czasu mnie pilnować, żebym się nie spóźnił, tylko muszę sam i dlatego mi daje zegarek. Ale to pewno nie dlatego, tylko, że Wuj jest dobry i że mnie oboje z Wujenką bardzo żałują, że ja jestem sierota. Zaraz w domu położyłem zegarek na stole i zacząłem patrzeć, jak się ruszają wskazówki. Jedna jest większa, druga mniejsza, ślicznie chodzą, jak żywe. Patrzyłem, patrzyłem i naraz przestraszyłem się: Ojej, to już nigdy, nigdy, przenigdy nie wróci ta sama minuta, którą mój zegarek raz pokazał. Nigdy! Żeby tam nie wiem, co robić, nie wiem, co dawać... Oj! pomyślałem sobie, jaka szkoda tego czasu, co już był... Ile to już tego czasu przeszło! Trzeba go jakoś łapać, ale jak?

Pozdrów mego brata i bratową i napisz, co robią chłopaki ze szkoły. Ale napisz, boś obiecał.

WŁADEK.



Zbliżka i zdaleka



KATASTROFA POWODZI W MAŁOPOLSCE WSCHODNIEJ.

W dniu 30 i 31 sierpnia z powodu gwałtownej ulewy nastąpił wielki wylew rzeki Sanu, Dniestru, Strwiąża, Tyśmienicy i innych. Wezbrane rzeki pozrywały mosty, popsuły gościńce i liczne mosty, zalewając wielkie obszary pól, wsie i miasta. Między innymi została przerwana komunikacja między Samborem i Drohobyczem. Zagłębie Borysławskie zostało odcięte od kolei, przez co uległ zatrzymaniu ruch w kopalniach nafty.

Nagły wylew wód zalał setki domów. W Stryju woda zalała więcej, niż połowę miasta, zrywając dwie tamy, przyczem poziom wody podniósł się od 5 do 6 prawie metrów ponad poziom normalny. Wiele domów zostało zburzonych i wiele osób utonęło. Podobno w samym powiecie Kosowskim zginęło 100 osób.

Na obszarze, dotkniętym klęską powodzi, przeszedł równocześnie huragan tak silny, że we wsi Markowcach w pow. Tłumackim zniósł 54 domy.

Władze pośpieszyły od razu z energiczną pomocą, w której wzięli udział żołnierze - saperzy, strażacy i policja.

REKORD WYSOKOŚCI osiągnął w końcu lipca lotnik amerykański Wauseau. Wzbił się na samolocie na wysokość 13.714 metrów. Przy lądowaniu dzielnego lotnika miała miejsce katastrofa, gdyż samolot stanął w płomieniach. Wauseau zdążył jednak wyskoczyć i nie poniósł żadnego szwanku.

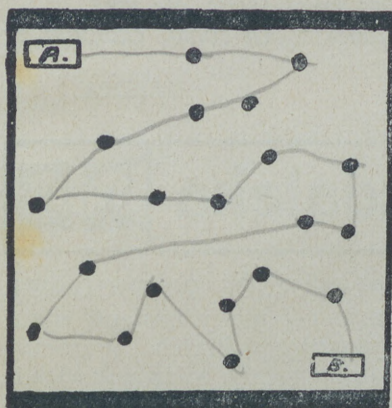
DZIWNY ZAJĄC. W Anglii pod Manchesterem wypuszczono zająca, którego poszczuto chartami (są to psy specjalnie wyuczane do chwytania zającej). Zając biegł z szybkością 75 klm. na godzinę i kiedy wreszcie stanął, zziębnięte charty, dopadłszy go, przekonały się, że go niły... maszynie, tak pomysłowo zrobioną przez ludzi.



„TURNIEJ ROZRYWKOWY”.

Termin nadsyłania rozwiązań poniższych zadań — 27 września.

Nr. 2 ZADANIE. (Za rozwiązanie 4 punkty).



Mały Janek, idąc pierwszy raz do szkoły, zablądził w lesie, przez który wiodła droga z domu.

Należy, przeprowadzając linię od punktu do punktu, wskazać linię krzywą, po której szedł Janek z domu (A.) do szkoły (B.)

Przez każdy punkt linia musi przechodzić, nie przecinając się w żadnym miejscu.

Nr. 3. SZARADA. (Za rozwiązanie 2 punkty).

Pierwsze — litera.

Drugie — produkt mleczny.

W sutym obiedzie

Cały — jest konieczny.

Nr. 4. BILETY WIZYTOWE. (Za rozwiązanie 3 punkty).

Z liter, składających nazwiska, ułożyć zawody tych osób.

U. PECKI

W. KOŁYSOW

T. SYNEDAT

Nr. 5. KWADRAT MAGICZNY. (Za rozwiązanie 3 punkty).

A	A	A	A
A	A	D	D
D	D	M	M
O	O	W	W

Litery przestawić w ten sposób, żeby utworzyły cztery wyrazy jednakowo brzmiące, czy czytane poziomo, czy pionowo.

Wyrazy: 1) zwierzę o 6 nogach, 2) płyn, 3) imię męskie, 4) inaczej pani

Uwaga: wyraz pierwszy składa się z tych samych liter, co wyraz drugi, zaś wyraz trzeci z tych, co i czwarty.

DO J. WOSIEKA W HOMECOURT, WE FRANCJI. Czy ciągle Wasza biblioteczka jest tak mała, że możecie czytać polskie książki tylko wtedy, kiedy chcą Was nagrodzić? A trzeba, żebyście czytali jaknajwięcej. Napisz jeszcze do nas.

DO IRENKI MAJSAKÓWNY W SANDOMIERZU. Nie myśl jeszcze o żadnej szkole filmowej. Nie dawaj też wiary ogłoszeniom. Wielu nieuczciwych ludzi poprostu tylko wyludza pieniądze pod płaszczykiem szkoły filmowej. Tembardziej, że u nas nawet ci, co mają talent, którzy dobijają się do naszych nielicznych i biednych wytwórni filmowych, nie mają pracy. W kraju, który najwięcej wytwarza filmów, w Stanach Zjednoczonych, dziesiątki tysięcy ludzi przy-miera głodem, wyczekując pod wytwórniami na to, by mieć możliwość zagrać choć krótką scenę, jako uczestnicy tłumu, za co otrzymują bardzo niewielkie wynagrodzenie, niewystarczające na utrzymanie.

DO MARYSI CHROSTKÓWNY W KĘTACH. Dziękujemy Ci za fotografię. Jak spędziłaś wakacje?

DO UCZENIC KL. IV SZKOŁY POWSZ. ŻEŃSKIEJ W MYŚLENICACH. Dziękujemy za ładne widokówki i jeszcze ładniejsze miłe liściki. Czy byliście gdzie latem?

DO FRANCISZKA NADOLSKIEGO W TRZEBOWEJ. A czy w tym roku pomyślicie o jakim przedstawieniu?

DO STASIA JACYKA W GRZYMAŁOWIE. Tak, Twój Tatuś ma rację. Być może nawet, że dużo więcej, że nie kilka a kilkanaście tysięcy lat.

DO KL. IV SZKOŁY POWSZ. W JABLONOWIE. Pewnie i w tym roku szkolnym urządzenie podobnie udatne przedstawienie. O ile książek powiększyła się Wasza biblioteka szkolna?

DO IRKI KARBOWSKIEJ W KONSTANTYNOWIE. Ciekawimy, czy ładnie wyrosły kwiatki, które siałas w wazonikach i na grobie Danusi. Historyjka w obrazkach, którą nam przysłałaś, jest bardzo śmieszna.

DO STEFKA KOGUTA W OSIEKU. Z zajęciem przeczytaliśmy Twoje opisy święta sadzenia drzewek i przyjęcia Pana Wojewody.

DO HANI NABOROWSKIEJ W SŁOWIE. Jaka szkoda, że, jak piszesz, ludzie nie szanują w Waszych stronach drzewek przy drogach i łamią je. Straszne to barbarzyństwo!

DO STASIA FURMANKA W WISŁOWCU. Ogromnie ciekawi jesteśmy, jak się odbyło w Waszej szkole zakończenie roku szkolnego. Ale Wy tak się gniewacie za nasze długie milczenie, że zapewne nam nie opiszecie.

DO KLASY III-ej W GRÓDKACH. Ślicznie opisaliście nam, co się dzieje w Waszej szkole. Pisujcie jaknajczęściej, prosimy bardzo.

DO MAKSIĄ SOCHY W LUBLINIE. Mamy nadzieję, że i w tym roku będziesz z nami korespondował.

DO WANDZI LISÓWNY W BISKUPICACH. Rozumiemy Twą przykrość, że nie możesz nadal chodzić do szkoły. Ale, kiedy tak kochasz naukę, to przynajmniej do książek będziesz często zaglądała może z biblioteczki szkolnej (prze-cież Ci nie odmówi nikt wypożyczenia książki, byleś ją szanowała). Pisuj do nas, a może przyda Ci się jaka nasza wskazówka, czy rada.

DO DZIECI Z PRZEDSZKOŁA W. REPLŃSKIEJ W BĘDZINIE. Stach, Kazio i Kazia tak ładnie już podpisali się na liście do redakcji, że już pewnie niezadługo przysłać własnoręczne liściki do redakcji „Płomyczka”.

DO BRONI KORCZYŃSKIEJ W POZNANIU. Czekamy na list od Ciebie, jako „drugoklasistki”. Gdzie i jak spędziłaś wakacje?

DO ZOSI BRYLANKI W SANDOMIERZU. Sandomierz istotnie leży w malowniczej okolicy. Szczególnie na wiosnę jest tam pięknie, gdy kwitną drzewa owocowe w licznych sadach.



